



O. Jean-Pierre Schumacher, w tle portrety zabitych mnichów. Klasztor Notre Dame de l'Atlas, Midelt, Maroko, styczeń 2011 r.

BRUNO ZANZOTTI / PARALLELOZERO

Brat męczenników

JAKUB CIEŃKIEWICZ

Podczas wojny w Algierii islamscy terroryści zamordowali siedmiu trapistów. Ósmy ocalał, dziś mieszka w Maroku. Z muzułmanami.

26 MARCA 1996 R. ISLAMISTYCZNA BOJÓWKA porwała siedmiu mnichów z klasztoru w Tibhirine – trapistów, którzy od lat 30. XX w. żyli w przyjaźni z wyznawcami islamu: przeora klasztoru Christiana de Chergégo; ojców Christophe'a Lebertona, Célestina Ringeara, Christiana Lemarchanda (Bruno); braci Paula Dochiera (Luca), Paula Favre-Miville'a oraz Michela Fleury'ego.

Dwa miesiące później ich głowy znaleziono w worku zawieszonym na drzewie przy drodze do Médéi. Ocalony cudem, teraz 90-letni, ojciec Jean-Pierre Schumacher do dziś mieszka wśród muzułmanów, gdzie kontynuuje misję klasztoru – życia w prostocie, braterstwie i przyjaźni z wyznawcami islamu.

Mówi, że to jedyne lekarstwo na współczesne czasy.

Ślady

Midelt (środkowe Maroko), klasztor trapistów Notre-Dame de l'Atlas, czerwiec 2014 r.

Za murami wszędzie widać ich ślady: papierowe zakładki w książkach o islamie, lista arabskich słów z tłumaczeniem na francuski, psalterze, różańce, stuła, którą brat Christophe wkładał zawsze 1 grudnia, w rocznicę męczeńskiej śmierci Karola de Foucauld, ubrania.

I twarze... Skupione, poważne twarze: w małej klasztornej kaplicy spogląda ze ścian siedem olejnych portretów braci za-

mordowanych w Tibhirine. – Jesteśmy ich spadkobiercami – mówi przeor Jean-Pierre Flachaire.

W kaplicy, jak memento, leży otwarty testament zamężonego przeora, ojca Christiana de Chergégo, opublikowany w dzienniku „La Croix”: „Słowem »dziękuję« wyrażającym wszystko, co stanowi moje życie, obejmuję was przyjaciele z wczoraj i przyjaciele z dzisiaj... i Ciebie też, przyjacielu ostatniej minuty, który nie będziesz wiedział, co czynisz. Tak, również i Ciebie włączam w to moje dziękuję, w moje »Z Bogiem!«, które widzę także w twojej twarzy... Amen. Insha Allah”.

Dramat francuskich trapistów, pokazany w filmie Xaviera Beauvois „Ludzie Boga” z 2010 r., wywołał poruszenie świata. W pierwszym roku od premiery film obejrzały 3 mln widzów, zdobył Grand Prix Jury, Nagrodę Jury Ekumenicznego i Prix de l'Éducation National na festiwalu w Cannes. Marokański Midelt, dokąd po tragedii przenieśli się trapiści, to miejsce, gdzie mniś nadal budują więzi z islamem. – Pokazujemy, że mimo różnych wyznań, kultur i narodowości można tworzyć wspólnotę. To jest nasze świadectwo dla Francji i dla krajów arabskich – mówi Jean-Pierre Schumacher.

Różaniec w górach Atlasu

Gliniany mur okrąża kilka budynków. Kaplica, ogród, podwórko. Stalowa furtka uchyla się powoli. – Dzień dobry panu – mówi po polsku lekko zgarbiony, uśmiechnięty mężczyzna w białym habicie. Widać, że Jean-Pierre cieszy się z efektu zaskoczenia.

Kto go nauczył polskich słów? – Przyjaciół z dzieciństwa, chłopak spod Poznania, który przyjeżdżał co roku do Alzacji na wakacje. Niestety, zginął podczas II wojny światowej, walcząc z Niemcami w Normandii.

Jean-Pierre został przymusowo wcielony do Wehrmachtu. Jego brat trafił na Syberię. Mimo wieku, zakonnik wciąż jest silny. Codziennie, z różańcem w dłoni, spaceruje wzdłuż muru. Wokoło widać czerwone szczyty Atlasu Wysokiego, z górującym nad okolicą Dżebel Ayachi (3735 m n.p.m.), otoczonym mgiełką lub wianuszkami śniegu.

Pejzaż jest tu podobny jak w Tibhirine. Jean-Pierre wspomina ostatni rok spędzony w Algierii – rok 1996. W górach słyszeli echa wojny, która szalała na nizinach. Na polach, wokół klasztoru, leżał śnieg, wiatr przynosił zapach eukaliptusów, śpiewały ptaki, szła wiosna i ludziom wracała nadzieja. Po trzech latach przerwy wywołanej wojną przeor postanowił wznowić spotkania islamsko-chrześcijańskiej grupy modlitwnej Ribat al Salam (Więź Pokoju), złożonej z trapistów i muzułmanów, sufitów z bractwa Alawiyines z pobliskiego miasteczka.

– Podczas spotkań nasza kaplica przypominała mały meczet – uśmiecha się Jean-Pierre. Tyle było w niej dywanów do modlitw. Bracia zgłębiali Koran, sufici studiowali Ewangelię, szukali wspólnych fragmentów. – A potem chrześcijańskie modlitwy i muzułmański śpiew łączyły się w jeden przekaz. To była nasza wspólna droga do Boga... Droga przerywana przez historię.

Wojna i rzeź

Dzisiaj można powiedzieć, że wojna domowa w Algierii (1992–2000) zapowiadała w pewien sposób powstanie Państwa Islamskiego; terror o podłożu religijnym był jej stałym elementem. 26 września 1992 r. na lotnisku w Algierze bomba zabiła 9 osób; rok później zamordowano Tahara Djaouta, pisarza walczącego z obskurantyzmem religijnym, oraz Youcefa Fathallaha, przewodniczącego Algierskiej Ligi Praw Człowieka. Aż w końcu zginął prezydent kraju Mohammed Boudiaf. Pół tysiąca szkół wysadzono w powietrze.

Konflikt wybuchł podczas kryzysu naftowego (ropa naftowa i gaz to jedyne eksportowe surowce Algierii). Z braku dewiz na zakup zachodnich komponentów upadł przemysł ciężki. Fabryki opustoszały. Miasta wypełnił tłum bezrobotnych. W sklepach zabrakło mleka, tłuszczów, cukru, a w do-

mach – światła i wody. Armia pacyfikowała demonstracje, wtrącała ludzi do więzień.

Społeczeństwo odpowiedziało oporem: na ulicach zaroilo się od białych dżelab i czarnych hidżabów. W miastach powstawały „prywatne” meczety, prowadzące „koła refleksji i mobilizacji”, w praktyce – gromadzące bezrobotną młodzież. Niepostrzeżenie dla służb bezpieczeństwa powstawał ruch polityczny – dyskretnie wspierany przez Arabię Saudyjską i egipskie Bractwo Muzułmańskie, głoszący hasło „Islam rewolucją totalną”. Dla opozycjonistów szariat oznaczał powrót do ładu i podstawowych zasad moralności.

4 października 1988 r., w proteście przeciwko kolejnym podwyżkom, tłumy manifestantów zawiądnęli Algierem. Uboga, bezrobotna młodzież dewastowała sklepy, niszczyła samochody, plądrowała urzędy. Na ulice wyjechały czołgi – w masakrze zginęło 500 demonstrantów. Armia straciła twarz. Kraj pogrążył się w upadku, mogła go uratować tylko demokracja.

Ale pierwsze wolne wybory (samorządowe i część parlamentarnych) wygrali ekstremiści z Islamskiego Frontu Ocalenia, którzy chcieli wprowadzić republikę islamską. Aby temu zapobiec, wojsko wyszło z koszar – zamach stanu z 11 stycznia 1992 r. rozpoczął krwawą, wieloletnią wojnę.

Islamiści zabijali polityków, nauczycielki, dziennikarki, prawniczki, artystów, rodziny żołnierzy, duchownych, obcokrajowców, dziewczęta bez hidżabów. W miasteczku Sidi Rais partyzanci z Islamskiej Grupy Zbrojnej zamordowali 300 osób. Dziewczęta porwali i zgwałcili w lesie, szkołę i przedszkole wysadzili w powietrze. Mieli po 17–25 lat. Nosili emblematy z symbolem Koranu, otoczonego dwoma kałasznikowami. Mówili, że kochają śmierć.

W odwiecie armia dokonywała egzekucji w dzielnicach islamskich. Zrywała ludzi ze snu, wyprowadzała przed dom i zabijała.

14 grudnia 1993 r., cztery kilometry od klasztoru trapistów w Tibhirine, gdzie mnisi modlili się wspólnie z sąsiadami, Zbrojna Grupa Islamska (GIA) obciąła głowy 12 chorwackim robotnikom, którzy co roku przychodzili do braci na pasterkę. Mordercy odwiedzili pustelnię w dzień Wigilii. – Chcieli zabrać w góry naszego lekarza, brata Luca, wziąć pieniądze, leki. Myśleliśmy, że nas zabiją. Baliśmy się. Ale nie daliśmy niczego. Byliśmy przecież duchownymi, a nie stroną konfliktu – wspomina Jean-Pierre.

Wizyty żołnierzy, których w klasztorze nazywano „braćmi z doliny”, i partyzantów („braci z gór”), którzy przynosili rannych do Luca, były codziennością, jednak wiosną 1996 r. napięcie osłabło. Słońce świeciło mocno, wiał ciepły wiatr, klasztor powoli wracał

do życia. Bracia pracowali w polu z sąsiadami, handlowali na *suku* (targowisku), modlili się, uczestniczyli w życiu wioski. W marcu na wybory przeora przyjechał przełożony z Fezu – ojciec Bruno, potem na modlitwne spotkanie Ribat al Salam przybyli: wikariusz generalny Oranu i Ojcowie Biali z Algieru.

Klamka zapadła

– To się zdarzyło 26 marca – wspomina Jean-Pierre Schumacher, przecierając czoło. – Rano pojechałem odebrać z lotniska wracającego z Francji brata Paula, który przywiózł krzewy i łopaty do ogrodu. Kiedy się z nim witałem, zażartował: „Czy tymi łopatami zostaną wykopane nasze groby?”

Jean-Pierre położył się spać, jak zawsze, około dwudziestej. Zbudził go hałas dobiegający z zewnątrz, z miejsca, gdzie była mała metalowa furtka w murze. Nie zapalając lampy wyjrzał przez zasłonięte okno.

– Myślałem, że partyzanci przyszli z rannymi – opowiada. – Widok mężczyzny w turbanie, z kałasznikowem na ramieniu i sztylblem za pasem, wydawał się to przypuszczenie potwierdzać. Ukląknęłam przy łóżku, modliłam się nieruchomo w ciemnościach. Ktoś nacisnął klamkę. Klamka się zacięła. Życie ocaliła mi mała metalowa zasuwka. Nagle usłyszałem głos przeora: „Kto jest waszym szefem?”. Pomyślałem: Christian da sobie radę lepiej niż ja. Jednak zaniepokoił mnie ton rozmów. Po kwadransie ktoś zamknął furtkę. Zapadła cisza.

Do jego celi zastukał ocalony z pogromu o. Amedee, którego pokój był zamknięty na klucz. Porywacze przez pomyłkę zabrali ojca Bruna i Paula, bo sądzili, że trapistów jest siedmiu. Chcieli zabrać wszystkich.

– Po porwaniu byliśmy zbulwersowani, ale nie ulegaliśmy panice – wspomina Jean-Pierre, przystając i rozprostowując plecy. – Myśleliśmy, że terroryści potrzebują jeńców na wymianę, nie sądziliśmy, że ich zabiją.

W gabinecie przeora zastali bałagan, telefon nie działał, kable zostały przecięte. Napastnicy ukradli radio, maszynę do pisania, aparat fotograficzny. Zostawili tylko ser, na którym widniał symbol krzyża.

Jean-Pierre Schumacher: – O świcie następnego dnia, po mszy, czekaliśmy na muzułmanów z miasteczka, którzy modlili się w sali obok klasztoru podczas remontu meczetu. Jeden z nich niósł w dłoni znaleziony na szosie habit brata Michela.

Dwa miesiące później głowy porwanych trapistów znaleziono w worku na drzewie.

– Zginęli 21 maja – mówi głucho Jean-Pierre Schumacher. – Ucięto im głowy rano – dodaje, jakby pora dnia miała jakiegokolwiek znaczenie.

23 maja 1996 r. do zamachu przyznała się Zbrojna Grupa Islamska: „Przed dwoma →